

Newsweek SPOŁECZEŃSTWO



„Tam, gdzie nie rosną poziomki” w reżyserii Przemysława Wojciechskiego. Nielegalne przedstawienie teatralne wystawione w agroturystyce w Wolimierzu. Występują Magdalena Gładysiewicz oraz Dariusz Maj



Wolimierz, 30 stycznia 2021 r.

KULTURALNE PODZIEMIE

Siedzieć za teatr

Czekamy, aż przyjdzie policja i nas zamknie za robienie kultury – mówi Przemek Wojcieszek w swoim nielegalnym teatrze

TEKST DAWID KARPIUK ZDJĘCIA ADAM TUCHLIŃSKI/TUCHLIŃSKI STUDIO

Jesteś pewien, że piszemy, gdzie to jest? – upewniam się.

– No jasne – uśmiecha się Przemek Wojcieszek, rozcierając zmarznęte dłonie. Stoi po kostki w śniegu na dziesięciostopniowym mrozie i zaciąga się papierosem. Za jego plecami zaśnieżone pola i korony drzew. Za jednym polem Niemcy, za drugim Czechy.

„To” jest nielegalnym teatrem, który Wojcieszek organizuje od grudnia. Informacje o spektaklach są kolportowane na zamkniętych grupach na Facebooku, bilety kupuje się na miejscu. Adres wysłała w prywatnej wiadomości dzień przed spektaklem. W ten sposób Wojcieszko wi udawało się robić żywy teatr nawet wtedy, kiedy z powodu pandemii niemal wszystkie instytucje kultury w Polsce, Niemczech i Czechach (a pracuje ostatnio w trzech krajach) zostały zamknięte.

– Wyobrażasz to sobie? – reżyser uśmiecha się szeroko. – W środku spek-

taklu wpadają pały i zwijają mnie na dołek. Pójść siedzieć za teatr? To byłby highlight mojej kariery. To byłby Brecht!

IALCHEMIK, OŚRODEK AGROTURYSTYCZNY w Wolimierzu, ma w sobie coś z zaczarowanego domu. Trzypiętrowy, drewniany budynek stoi przy wąskiej drodze między zasypnymi śniegiem polami. W środku ściany pomalowane na czerwono i niebiesko, drewniane schody zakręcające na piętro, regał z książkami, długie stoły, ławy, bar.

Papuga siedzi za barem i rozgląda się po twarzach. Czasem zlatuje na laptopa i zmienia muzykę: lubi Toma Waitsa i Massive Attack, ale jak polecą coś cięższego, to wyłącza. Papuga to ara zielonoskrzydła i jest bardzo towarzyska, więc aktualnie jest na lekach, żeby nie naprzykrzać się publiczności. Kolegu-

je się z psem Tako, akitą inu, który też wszystkich kocha.

– Papuga jest dziś trochę zirytowana – tłumaczy Monika Fijałkowska-Mokosa. – Więc lepiej trzymaj dystans.

Monika jest sołtyską Wolimierza, po godzinach prowadzi w swoim domu ośrodek agroturystyczny, a od czasu do czasu udziela miejsca nielegalnemu teatrowi Wojcieszka.

Wystawił tu już swój tekst „Czas umierania os”, o polskich emigrantach LGBT w Berlinie. A teraz – „Tam, gdzie nie rosną poziomki”, tekst na dwoje aktorów, którzy pracują nad spektaklem, ale nie mogą go skończyć, bo w pandemii teatry są zamknięte. Grają: Magdalena Gładysiewicz, studentka piątego roku wrocławskiej PWST, i Dariusz Maj, były aktor zniszczonego przez polityków Teatru Polskiego we Wrocławiu, który grał m.in. u Krystiana Lupy.

– Zbierają się tutaj looserzy i ludzie o złamanym życiorysach: studenci profesji, która nagle okazała się nikomu niepotrzebna, aktorzy ze zlikwidowanych teatrów i undergroundowy reżyser – śmieje się Wojcieszek. Trochę przez łzy, bo najpierw uciekł z Polski do Berlina przed PiS, potem z Berlina do Pragi przed pandemią, a teraz jest w małym przygranicznym Wolimierzu.

– Zaczęliśmy robić tu teatr 19 grudnia, teraz mamy drugą edycję – opowiada. – Jeśli zakończy się lockdown [od 12 lutego teatry mają być otwarte „na okres próbny”], będziemy mieli szansę pokazać legalnie wszystkie premiery, które przygotowujemy. Ostatnio robiłem próby we Wrocławiu, korzystając z różnych sal, podając lipne tytuły spektakli. Najgorsza byłaby kompletna kapitulacja, przyznanie, że to, co robimy, jest jednak nieważne. Jeśli społeczeństwo może się bez tego obejść, jeżeli my możemy się bez tego obejść, to koniec. Nie ma kultury.

Paradoksalnie w czasie pandemii Wojcieszek przeżywa jeden z najlepszych okresów w karierze. Tylko w zeszłym roku napisał cztery teksty teatralne, jeden z nich, „Świetłana”, dotarł do finału Gdyńskiej Nagrody Dramaturgicznej. 20 lutego wyreżyseruje w Wolimierzu „Influencer szuka żony”, tekst Mai



Przemysław Wojcieszek (siedzi z prawej) na nielegalnym teatrze nie zarabia ani grosza. Kiedy kończą mu się pieniądze, wraca do Berlina i pracuje m.in. jako kierowca Ubera

Staśko. Bilety są dawno sprzedane. – W Berlinie na każdej premierze mieliśmy poważnych recenzentów, był o nas materiał w Deutsche Welle. W Pradze okazało się, że mogę niemal natychmiast zmontować team. Dogadałem się z trzema topowymi aktorkami i dobrym, hipsterskim klubem. Wpadliśmy z grupą Niemców i Czechów na to, żeby robić prosty teatr dramatyczny o aktualnych sprawach, które jakoś łączą punkt widzenia polski, czeski i niemiecki – opowiada Wojcieszek.

Na swoim nielegalnym teatrze nie zarabia ani grosza. Kiedy kończą mu się pieniądze, wraca do Berlina i przez parę miesięcy pracuje jako kierowca Ubera, kurier Amazona albo pracownik fizyczny w fabryce. – Po pracy piszę, a po kilku miesiącach znów robię teatr – mówi. – Czasem załapię się na dofinansowania z niemieckiego ministerstwa kultury albo od jakiejś wrocławskiej instytucji. Robię spektakle bez budżetów. Dziś na przykład gramy przy lampach wyciągniętych z pokoi gościnnych. Bez sceny, bez niczego. Przychodzi trochę lokalsów, trochę osób przyjeżdża z dużych miast.

II

AKTORKA MAGDA GŁADYSIEWICZ dojeżdża do Wolimierza z Wrocławia na trzy godziny przed spektaklem. Siadamy na kanapach przy barze.

– Niezbyt kolorowo widzę przyszłość, mówiąc szczerze – zaczyna. – Perspektywy pracy w teatrze dla młodej aktorki są raczej żadne.

– Nie chciałaś robić czegoś w rodzaju „M jak miłość”? – pytam, bo wielu aktorów ucieka z teatrów do seriali.

– Chciałam. Ale na razie wyjazd do Warszawy nie ma sensu, wszystkie castingi są online.

– Przeżyłem koniec Teatru Polskiego i od tamtego czasu nie mam etatu, ale staram się jakoś jeszcze pływać – dodaje Dariusz Maj, który dotąd walczył z treścią, drzemiąc na kanapie. – Z Wrocławia, który szczylił się, że jest miastem kultury, niewiele zostało. Jedyne, co się w miarę mocno trzyma, to literatura. Odbyło się parę festiwali literackich, było trochę roboty przy czytaniu tekstów. W tej chwili już chyba doszliśmy do ściany. Widzę ciemność.

– Na początku pandemii nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić – dodaje Magda Gładysiewicz. – Zagrałam swój spektakl dyplomowy, a parę dni po premierze – lockdown. Myślałam, jak wszyscy, że zaraz minie.

– Wy tu macie zupeł! – przerywa Wojcieszek, bo w nielegalnym teatrze jest domowy catering.

Praca nad „Tam, gdzie nie rosną poziomki”, tragikomedią o parze aktorów, którzy w zamkniętym przez pandemię teatrze próbują przygotować spektakl, bo to ostatnie, co wydaje się mieć jakiś sens, trwała tylko dziesięć dni. – Dziesięć dni! – powtarza Dariusz Maj. – Pięćdziesiąt stron tekstu na dwie osoby!

– Zaraz reptilianie zarządzają, że będziesz miał pięć dni – żartuje Wojcieszek. Bo coraz więcej osób w Berlinie, Pradze i Wrocławiu zaczyna podejrze-



Monika Fijałkowska-Mokosa jest sołtyską Wolimierza. Po godzinach prowadzi agroturystykę i od czasu do czasu udziela miejsca nielegalnemu teatrowi Wojcieszka

wać, że za pandemią ktoś musi stać, więc czemu nie reptilianie.

Tymczasem Papuga wyłącza muzykę. Pies Tako przygląda mu się ciekawie.

III

SPEKTAKL JEST GRANY W BOCZNEJ SALI, przez drzwi z jadalnią i barem. Na środku stoi mały stolik, na nim lampka, a obok dwa krzesła. To cała scenografia. Wokół krzesła dla – na oko trzydziestoosobowej – widowni. Wojcieszek siedzi w kącie i puszcza piosenki Toma Waitsa z laptopa.

– Stresujesz się? – pytam.

– Za każdym razem.

„Czym się różni łoża teatralna od aktora?” – pyta w pierwszej scenie Marianne, młoda aktorka grana przez Magdę Gładysiewicz. „Łoża potrafi utrzymać czteroosobową rodzinę”. Nikt się nie śmieje, bo podobny żart – przez łzy – może powiedzieć coraz więcej ludzi pracujących w kulturze i nie tylko.

– Nie wiedziałem, czy wypada się śmiać. Trochę to było przygnębiające. Ale też bardzo śmieszne – mówi jeden z widzów, kiedy wychodzimy na dwór zapalić.

– Trochę tu jak w horrorze – zauważa ktoś. Parę metrów od drzwi stoi zarzewiała rama dziecięcego łóżeczka, a na ścianie pobliskiej stodoły wisi wielkie lustro, w którym wszystko odbija się w nieco zniekształconym kształcie.

– Rzeczywiście: miejsce jak z filmu. Idealne na teatr – dodaje ktoś inny. Dwa młode kociaki biegają między ludźmi i próbują zwrócić na siebie uwa-

gę. – Jakby cywilizacji już wcale nie było. Może lepiej tak nie gadać w tych czasach.

Aktor Michał Surówka przyjechał zobaczyć spektakl Wojcieszka aż z Bydgoszczy. Znają się od paru lat, Surówka zagrał w jego filmie „Knives Out”, a ostatnio w „Swietłanie”, pierwszym spektaklu, który – w oparciu o własne doświadczenia – Wojcieszek napisał po wyjeździe z Polski. O polskim inteligencie, który pracuje w Berlinie jako kierowca Ubera i szofer dorabiający wozieniem prostytutek do klientów.

– Robiliśmy to w Klubie Polskich Nieudaczników w Berlinie, gdzie emigranci z Polski urządzają wydarzenia kulturalne – opowiada Surówka. – Jak to u Wojcieszka, główny bohater jest owładnięty polskością, nie może się od niej uwolnić nawet na emigracji. W tym Berlinie czułem, jakbym grał w filmie. Mieszkanie, które mi załatwił, okazało się czymś w rodzaju nielegalnego salonu fryzjerskiego. Miałem tam malutki pokój. Od razu poczułem się jak emigrant, który przyjeżdża na Zachód w pogoni za lepszym życiem, a wychodzi, jak wychodzi.

– Przemek pokazał mi „Swietlanę” i zapytał, czy berlińczycy w ogóle ją rozumieją – opowiada Andreas Visser, berliński artysta i aktywista. – Od tej pory tłumaczę jego teksty na niemiecki.

„Swietłana” została wystawiona w ramach Tygodnia Europejskiego w Passau. Publiczność w całości niemiecka. – Po spektaklu mieliśmy niesamowite rozmowy – opowiada Visser. – Mówili,

że nie tylko przez ten tekst poznali Polskę, ale także zupełnie inaczej spojrzeli na Berlin.

Zdaniem Vissera „Swietłana” to dobry przykład na to, ile Polacy i Niemcy mogą się o sobie dowiedzieć poprzez teatr. – Od lat powtarzam moim rodakom: patrzcie na Polskę, zobaczcie, co się dzieje, kiedy przegapi się moment, w którym populiści podnoszą głowy. Zobaczcie, jak wygląda rzeczywistość kraju rządzonego przez populistów. My w Niemczech też mamy swoje problemy, na przykład AfD. Rozmawiałem kiedyś o tym z Adamem Bodnarem, który był w Berlinie na spotkaniu z prawnikami i opowiadał im, co się dzieje w Polsce. Robili wielkie oczy. Bodnar powiedział mi: nie jestem im w stanie tego wytłumaczyć. Tymczasem teatr ma możliwości, których nie ma publicystyka polityczna.

IV

„TAM, GDZIE NIE ROSNĄ POZIOMKI” kończy się opowieścią Marianne o facecie jej przyjaciółki. „Był ideałem” – mówi. – „Miał tylko jedną drobną wadę: nieustanny wzwód (...). Był z tego powodu bardzo nieszczęśliwy”.

Kobieta postanowiła pomóc ukochanemu i zabrała go do syberyjskiego szamana, który ogłaszał się w internecie i obiecywał pomoc w takich właśnie przypadkach. Warunkiem było zjedzenie magicznego grzyba. „Zjedli grzyba, a szaman odprawił nad nimi swój szamański rytuał” – opowiada Marianne. Rano się budzą, a tam „wszystko, jak okiem sięgnąć, doszczętnie przerwano... A jemu nadal stoi”.

„Jaki z tego morał?” – pyta grany przez Dariusza Maja Henrik.

„Czasem lepiej akceptować rzeczy takimi, jakie są. Róbmy teatr. Za chwilę wszystko otworzą”.

– Muszę napisać ten tekst w tym tygodniu – mówię Wojcieszkowi kilka dni po naszym spotkaniu. – Bo za chwilę wszystko otworzą.

– Spokojnie – odpowiada. – Potem i tak zamkną. **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl